



Z Ireną Jarocką, ikoną polskiej piosenki, o trudnych życiowych wyborach i pogodzie ducha

rozmawia Dorota Warakomska

Irena Jarocka – Jako 20-latką zadebiutowała w 1968 roku na festiwalu w Sopocie piosenką „Gondolierzy znad Wisły”. Zdobyła później wiele prestiżowych nagród na światowych festiwalach. Wylansowała takie przeboje, jak „Wymyśliłam Cię”, „Motylem jestem”, „Kocha się raz”, „Nie wrócą te lata”, „Odpływają kawiarenki”. Śpiewała u boku takich gwiazd jak Mireille Mathieu, Charles Aznavour, Michael Legrand, czy zespół ABBA.

Pracowała m.in. w Paryżu, Niemczech. Koncertowała w Japonii, Ameryce, w każdym zakątku Europy. Zjeżdżała cały świat. Aktorskie umiejętności pokazała w kinowym hicie „Motylem jestem czyli romans czterdziestolatka”, grała także w Teatrze Polskim w Waszyngtonie w sztuce Mrożka „Piękny widok”.

Na koncertach śpiewa utwory w 9 językach, w różnych stylach: od popu, przez rock, country, french chanson, Broadway aż po jazz.

Rzuciła karierę w showbiznesie dla męża, informatyka. Mieszkała z nim w Zachodniej Wirginii, stanie Nowy Jork i Teksasie. Po 18 latach pobytu w USA właśnie wróciła do Polski. Jej najnowsza piosenka to „Uwolnij się” – duet z amerykańską gwiazdą Michaeliem Boltonem. Z impetem wraca na scenę.

Niczego nie żałuję

Piosenkarka, której utwory potrafi zanucić każdy Polak, uważa, że trzeba umieć być sobą w każdym wieku. A także, że pogodę ducha widać na twarzy. Dzięki trudnym przejściom i życiowym zakrętom nauczyła się przebaczyć ludziom i sobie samej. Podczas 18-letniego pobytu w USA przekonała się, że nie liczy się wiek, tylko to, co każdy z nas może zrobić. A robić można wiele, i w każdym wieku. Ważne, aby wierzyć w siebie. Dopóki człowiek chce coś odkrywać, działać, to wciąż jest młody. Od przemitej, wrażliwej i nieśmiałej w codziennym życiu Ireny Jarockiej możemy nauczyć się tego, jak cieszyć się z drobiazgów i pozytywnie traktować wszelkie wyzwania.

Modna, nowoczesna, idealnie szczupła, zgrabna. Może wpędzić w kompleksy niejedną, dużo młodszą od niej kobietę.

- Nie wystarczą dobre geny, trzeba o siebie dbać – mówi wesoło Irena Jarocka i przyznaje, że regularnie ćwiczy aerobik i bardzo dba o dietę. Pije tylko zieloną herbatę (sprowadza ją z Chin) lub niegazowaną wodę z cytryną i imbirem. Jada kasze, owoce, warzywa, ryby i białe mięso. Jej słabością jest polskie pieczywo, którego tak bardzo brakowało jej w USA.

- Coraz bardziej lubię moje zdjęcia z ostatnich lat – śmieje się serdecznie i dodaje, że święcie wierzy w powiedzenie, że to, co widać na twarzy, jest odbiciem duszy.

- Z wiekiem jesteśmy mądrzejsze, bogatsze wewnątrznie. nabieramy dystansu do tego, co wokół nas. To wszystko powoduje też większą pogodę ducha – wyjaśnia Irena Jarocka.

- Zdecydowanie wybieram filozofię pogodnego myślenia. Bo życie jest wielkim doświadczeniem. Jak pojawia się jakaś przeszkoda, to zadaję sobie pytanie, czego tym razem mam się nauczyć. Nie traktuję smutków jako tragedii, (no... może na moment w zależności od powagi sytuacji) ale staram się widzieć lepszą przyszłość i wtedy smutek tak nie boli.

- W życiu ważne jest, aby dostrzegać pozytywne aspekty drobiazgów i czerpać z nich energię. „Małe rzeczy” (ostatnia płyta Ireny Jarockiej z 2008 r.) to przesłanie mojego życia. Rodzice nauczyli mnie jak cieszyć się każdą chwilą, moja mama mówiła, że z tych drobiazgów realizują się wielkie marzenia

Stanowczo podkreśla, że nie ulega modom. - Nie jestem snobką na wielkie nazwiska projektantów mody. Dla mnie ważna jest wygoda, dobry materiał, oryginalny krój i dobre samopoczucie.

- Ubierać się zgodnie z tym kim jesteśmy i nie myśleć, że jak mam 60 lat to nie wypada, żebym założyła np. džinsy – mówi poklepując się po niebieskich, kowbojskich spodniach. - Ja zakładam „dżinsy”, bo mam świadomość, że jeśli ja się będę dobrze czuła, to inni też będą mój wygląd traktować naturalnie. Można być młodym duchem również w starszym wieku.

Na pytanie, czy właśnie ten okres w Jej życiu jest najpiękniejszy odpowiada, że każdy okres w życiu jest piękny.

- Nie wiem, czy bym chciała być dzisiaj dwudziestolatką. Ale tak, jak w każdej porze roku można znaleźć coś pięknego, tak każdy okres życia jest wspaniały z innego powodu. Ja jestem szczęśliwa. Niczego nie żałuję. Były smutne momenty w moim życiu, ale one z czasem mnie wzmocniły, dały wiarę w moje możliwości – mówi zdecydowanie.

- Z tym co było rozliczyłam się w autobiografii „Motylem jestem, czyli piosenka o mnie samej” (2007 r., wyd. Prószyński i Spółka). Ta książka zawiera moc wzruszeń, wspomnień, nieznanych dotąd powszechnie faktów z mojego życia i mnóstwo zdjęć. To opowieść o rozterkach i przemianach, miłościach, karierze, pasjach. Ta książka zmieniła moje życie. Podczas prac nad nią rozliczyłam z moją przeszłością, do której nabrałam dystansu, otworzyłam się na wszystko, co mnie otacza. Dzięki niej nauczyłam się też, jak

przebaczyć ludziom i przebaczyć sobie za wszystkie głupoty, które robiłam.

Jej najnowsza piosenka, singiel „Break Free” (Uwolnij się) to duet z Michaeliem Boltonem, gwiazdą światowego formatu.

- Prace nad tym utworem trwały prawie rok. Na ten wspólny projekt namówili mnie przyjaciele z Los Angeles. Pracujemy z Michaeliem Boltonem w tym samym wydawnictwie płytowym „Universal” przez co łatwiej było o kontakt z nim. Kocham ten utwór, ma on wszelkie atuty, aby stać się przebojem.



Jarocka śpiewa po angielsku i po polsku, Bolton – po angielsku. Michael Bolton, który sprzedał ponad 50 milionów egzemplarzy swoich płyt, założył fundację, która pomaga uciśnionym kobietom i dzieciom. Mocne jest też przesłanie tej piosenki. „Break Free” ma dawać siłę kobietom w trudnych momentach. W najbliższym czasie utwór ten znajdzie się na reedycji płyty „Małe rzeczy”.

- Ile razy musiała Pani „zwalniać” i robić radykalny krok do przodu?

- Miałam kilka przełomowych, trudnych momentów w życiu. Najpierw wyjazd do Paryża w 1969 roku, tuż po Sopocie, po którym wszyscy przepowiadali mi wielką karierę. Potem ciężki wypadek sa-

mochodowy w 1976 roku, który zmienił moje podejście do życia. Następnie urodzenie dziecka w 1982 roku (córka – Monika). Kolejnym przełomem był wyjazd do USA z mężem w 1990 roku. Najnowszym wyzwaniem jest powrót do Polski.

- No to po kolei...

- Zaraz po Sopocie zaprosił mnie dyrektor Pagartu, mówiąc, że teraz moim rozwojem artystycznym zaopiekuje się Polska Agencja Artystyczna. Wysłał mnie najpierw do Związku Radzieckiego z zespołem Polanie, żebym oswoiła się z koncertami i wielką publicznością. Nasze koncerty rzeczywiście ściągały tłumy widzów, bo wtedy dla Rosjan Polska to był prawdziwy zachód. Kolejnym krokiem Pagartu było wysłanie mnie do kabaretów paryskich. Zostałam rzucona na głęboką wodę, nie znałam języka, to był mój pierwszy samodzielny wyjazd na zachód. Ciężkie warunki pracy, w nocy śpiewanie w rosyjskim kabarecie. Pojechałam na trzy miesiące, a jednak zostałam pięć lat. Był to jeden z piękniejszych okresów w moim życiu. Nauczyłam się zasad działania biznesu muzycznego, rozwinęłam artystycznie, poznałam wiele wspaniałych osób, m.in. Mireille Mathieu, Charlesa Aznavoura, Michaela Legrand. Wydałam dwie płyty, zdobyłam trochę nagród i pewnie, gdybym dłużej została, to mogłabym zaistnieć na francuskim rynku, bo zgłaszały się już do mnie znane firmy fonograficzne. Ale nie mogłam rozwiązać umowy z moim ówczesnym francuskim producentem, no i przede wszystkim chciałam wrócić do Polski, bo bardzo tęskniłam.

- Wróciła Pani w 1973 roku.

- I tego nie żałuje. Potem nagrywałam też płyty w Niemczech Zachodnich, też mogłam zapaść tam korzenie, ale nie chciałam. Wybrałam Polskę.

- Wypadek samochodowy...

- Przywrócił mnie do normalności. Wtedy byłam u szczytu kariery. Moje prywatne życie nie istniało. Tylko cały czas kołowrotek. Koncerty, trasy, zdjęcia i praca nad tym, aby jak najdłużej być na topie. Byłam też zagubiona w małżeństwie (pierwszym mężem Ireny Jarockiej był Marian Zacharewicz – jej menedżer i kompozytor). Przebywaliśmy ze sobą 24 godziny na dobę, już byliśmy sobą zmęczeni – mówi wzdychając.

- Leżałam w szpitalu na Kasprzaka. Doktor Religa mnie zszywał. Brew miałam tu – pokazuje na czoło. – Bardzo pięknie mnie pocerował, nic nie widać. No i wtedy, gdy po operacji leżałam na szpitalnym łóżku nagle odkryłam, że jest piękna jesień. Liście połyskiwały w słońcu. Miałam czas przemyśleć moje życie. Musiałam odwołać koncerty w Niemczech, Czechosłowacji, Polsce i okazało się, że świat się zawalił. Po wypadku odnowiłam przyjaźń z Michałem Sobolewskim, którego poznałam wiele lat wcześniej, w 1968 roku w Leningradzie i związałam się z nim na stałe.

- Urodziny dziecka były przełomem...

- Bo okazało się, że już nie jestem pępkiem świata.

- W 1990 roku wyjeżdżała Pani z Polski jako gwiazda, w Stanach Zjednoczonych stała się Pani anonimową osobą.

- Wyjechałam na dwa lata, zostałam 18. Mój mąż pracował w PAN, miał wiele propozycji pracy w USA. Wybrał Zachodnią Wirginię. Miał tam wspaniałe warunki do prowadzenia badań.

- Jechałam i myślałam, że sobie poradzę, bo co tam Ameryka... Oczywiście nie znałam dobrze języka, ale cieszyłam się, że będę mieć czas

dla domu, dla rodziny i dla dziecka. Bo w Polsce ciągle trasy, koncerty, było mało czasu na prywatne życie. Ale jak już miałam to wszystko o czym marzyłam, to nagle poczułam, że coś jest nie tak. Tam, w Stanach, jest pięknie, zwłaszcza w Zachodniej Wirginii. To prawdziwie dziki kraj, są tam cudowne góry, jest fantastyczna przyroda. Ale dla mnie było zbyt spokojnie. Nie chciało mi się nic robić, nawet śpiewać. Wpadałam w depresję. Drażniło mnie wszystko: mąż, dziecko, otoczenie. Córka mnie kiedyś spytała „skoro tak ci tu źle, to czemu nie pojedziesz do Polski?”

- Było bardzo źle, bo straciła Pani głos.

- Nie znałam dobrze języka i miałam okropne kompleksy. I tak nerwowo mówiłam, przez ściśnięte gardło, że aż zrobiły się jakieś guzki na strunach głosowych. Poszłam do specjalisty, on mnie zbadał, wypytał o wszystko i w końcu powiedział, że muszę jak najczęściej odwiedzać Polskę! Mąż wtedy powiedział: „Jedź, jak zatęsknisz, to wracaj.” Pojechałam z córką i po miesiącu pobytu w Polsce tak bardzo zatęskniłam za mężem, za domem, za tym amerykańskim spokojem, że zaraz wróciłam. I to był początek mojej przemiany, zrozumiałam, że życie daje mi szansę na odkrycie wielu „skarbów”, które są wokół mnie.

- Zaczęłam w końcu też śpiewać w Ameryce. Odwiedziłam wszystkie ośrodki polonijne. Na koncertach cudowna atmosfera, bo Polonusi łakną każdego słowa, chwytają każde wspomnienie. Nagrywałam też kolędy, polskie i amerykańskie. Amerykanie często mówili mi po koncertach, że nawet, jeśli nie rozumieją słów, czują moje piosenki przez skórę. To najpiękniejsze, co może usłyszeć artysta. Specjalnie dla Amerykanów zrobiłam program światowych standardów w dziewięciu językach: po angielsku, francusku, niemiecku, rosyjsku, hiszpańsku, włosku, serbsku, w jidish i po polsku. Ameryka to ludzie z całego świata. Na koncertach w zależności od tego, jaką piosenkę śpiewałam, to oni śpiewali ze mną, całe teksty w danym języku.

- Tęsknotę za krajem wypełniałam działalnością na rzecz promocji Polski w różnych polonijnych organizacjach.

- Polubiłam w końcu Amerykę, wtedy, kiedy do niej dojrzałam. I dziś dziękuję Bogu, że miałam w życiu wyzwanie, jakim był ten wyjazd. Nauczył mnie pokory, tolerancji dla „inności” drugiego człowieka, otworzył horyzonty, dał wiarę w siebie i większe otwarcie się na ludzi. Kolejny raz zupełnie przewartościowałam swoje życie. Nabrałam większego dystansu do wszystkiego, co się dzieje dookoła. Mam większą świadomość moich działań. Dziś wiem, że nie ma sensu walczyć z rzeczywistością, tylko warto przyjrzeć się jej uważnie i szukać w niej dobrych stron. Ameryka to piękny kraj, z ogromnymi przestrzeniami i myślę, że to też powoduje, że ludzie myślą szerzej. Czują w sobie większą perspektywę. Nie liczy się wiek, liczy się to, co ja mogę zrobić dla innych i dla siebie.

Teraz jest już na stałe w Polsce, choć córka została w USA i mąż więcej czasu spędza w Ameryce niż w Polsce.

- W Lubbock, w Teksasie, mamy dom. Mąż nie chce go sprzedać, bo ciągle marzy o tym, żebyśmy mogli jakąś część roku tam spędzać. Mąż był teraz 5 miesięcy w Polsce, zrobił dwa rewelacyjne projekty i jeśli Unia Europejska je przyjmie, będzie miał tu od stycznia pracę na 10 miesięcy. Myślmy to tym, żeby kupić większe mieszkanie, nie chcemy domu, bo kto będzie go pilnował przy naszych częstych wyjazdach. Chcemy zwiedzać świat.

Na pytanie o najbliższe plany odpowiada bez wahania – płyta z kolędami i koncerty!

- Wciąż w Polsce odkrywam nowe miejsca. Okazuje się, że mam publiczność w każdym wieku tak jak to zawsze bywało. Również młodzi



Dopóki chce coś odkrywać i robić coś nowego, to wciąż jestem młoda.

ludzie śpiewają moje piosenki. Ciągłe koncertuję, bo uwielbiam ten niezwykle kontakt z polską publicznością. Kocham to. Daję im całą siebie – mówi z przejęciem.

- Jako nastolatka byłam zakompleksiona – wyjaśnia - Wciąż jestem nieśmiała. Tylko na scenie zmieniam się. Na ulicy wolę nie rzucać się w oczy, stoję z boku, a na scenie – uwielbiam ekstrawagancję. Bo śpiewanie jest dla mnie spełnianiem się. Jak stoję na scenie to wierzę, że wszystko musi się udać. Wiem, że kiedy śpiewam z głębi serca, ludzie czują moją duszę. Wiem też, że dopóki chcę coś odkrywać, robić coś nowego, to wciąż jestem młoda. Chociaż najważniejsze jest spełnianie siebie.

Dorothea Warkomska - dziennikarka, w latach 1991-2006 związana z TVP, obecnie prowadzi własną firmę, pisze jako „wolny strzelec”, doradza w sprawach strategii medialnych i relacji z mediami.